MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 28. WARSZAWA, 30 CZERWCA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

ZWROT W POLITYCE FRANCJI

W POLITYCE delegacji francuskiej na konferencji pokojowej w r. 1919 zauważyć było można pewną dwoistość, spowodowaną w dużym stopniu sprzecznościami w myśli dyktatora wojennego Francji, Jerzego Clemenceau. Delegacja francuska, z jednej strony, idąc śladem tradycyj myśli politycznej swego narodu z jego republikańskiego okresu, sympatyzowała z systemem wilsonowskim zapewnienia wiecznego pokoju Europie przez odpowiednią organizację międzynarodową. Taż delegacja wszakże, z drugiej strony, pod wpływem sfer wojskowych i dzięki realizmowi Clemenceau, zdobytemu długiem doświadczeniem politycznem, dążyła do zapewnienia takiego układu terytorjalnego, by Francja mogła mieć sojuszników, dających jej gwarancję bezpieczeństwa w stosunku do Niemiec. Te realistyczne tendencje polityki delegacji francuskiej skłoniły ją do stanowczego poparcia programu terytorjalnego Polski i innych państw Europy środkowo-wschodniej. Państwa te miały w ewentualnym systemie sojuszów zająć to miejsce, które przed wojną zajmowała Rosja.

Po wojnie wskazane powyżej dwie tendencje istniały nadal w polityce zagranicznej Francji. Zależnie od okoliczności i od tego, jaki obóz stał u steru, ta lub tamta z nich brała górę. Bezwzględną przewagę polityce osiągnięcia bezpieczeństwa przez gwarancję międzynarodową dał Briand, gdy na długie lata objął kierownictwo ministerstwa spraw zagranicznych. Niema potrzeby tracić wielu słów na charakterystykę jego polityki, bo znana jest dostatecznie. Wierzył on tak dalece w możność zagwarantowania Francji bezpieczeństwa przez organizację pokojową Europy, opartą na szczerem porozumieniu francusko-niemieckiem, że wyzbył się z lekkiem sercem tego wszystkiego, co Traktat Wersalski dał Francji jako gwarancje realne— przedewszystkiem okupacji Nadrenji aż do r. 1935. Cała jego polityka oparta była na tym mistycyzmie pacyfistycznym, a terenem jej była Genewa.

Polityka ta, jak dziś już widzimy, zakończyła się zupełnem niepowodzeniem. Briand i jego zwolennicy popełnili potrójny błąd: źle ocenili rozwój stosunków w Niemczech, pomylili się co do biegu spraw we Francji, nie przewidzieli, że nastąpi bankructwo Ligi Narodów, jako instytucji przeznaczonej do załatwiania poważnych i istotnych zatargów międzynarodowych. Dzieje ostatnich kilku lat przyniosły wiele doświadczeń, będących bijącą w oczy ilustracją wskazanych powyżej błędów. Wystarczy stwierdzić przyjście do władzy Hitlera w r. 1933, wypadki 6 lutego 1934 r. w Paryżu, wreszcie wystąpienie Japonji i Niemiec z Ligi, by sobie zdać sprawę z rozmiarów dokonanych przeobrażeń.

W ciągu lat 15-tu, które upłynęły od podpisania traktatu Wersalskiego, stan polityczny Europy zmienił się gruntownie. Ujawniła się w stosunkach międzynarodowych złudność nadziej i pragnień pacyfistycznych, zmienił się ciężar gatunkowy poszczególnych państw, rozluźniły się porozumienia z czasu wojny, zapanowały wśród narodów Europy nowe prądy... Nasz kontynent wygląda dziś zgoła inaczej, niż wyglądał w roku 1920-ym.

Do tego wszystkiego musi się przystosować polityka francuska. Czyni to powoli, ociągając się,

z niechęcią, lecz poddać się musi konieczności. Wypadki 6 lutego odsunęły od władzy stronnictwo radykalno-socjalistyczne, czyli inaczej mówiąc — masonerję, w której łonie zrodził się system polityki Briandowskiej. Przyszedł do władzy rząd koalicyjny. Premjerem tego rządu jest dawny radykał, który zdobył doświadczenie i wyzbył się różnych złudzeń w ciągu swej długiej karjery politycznej, ministrem spraw zagranicznych jest stary realista polityczny, a ministrem wojny jeden z zasłużonych wodzów ostatniej wojny. Ci ludzie znaleźli się wobec gruntownie zmienionych stosunków europejskich i światowych. Mają przed sobą osłabioną i bankrutującą Ligę Narodów, Niemcy hitlerowskie, szereg narodów, ogarniętych prądami narodowemi, wzmacniającą się Polskę, powracającą na teren polityki międzynarodowej Rosję i t. d. U siebie w kraju czują odbywające się przeobrażenie w opinji publicznej, wyrażające się w silniejszym tonie narodowym wszędzie, a zwłaszcza w decydującej o polityce francuskiej stolicy kraju.

W tych warunkach musiał nastąpić zwrot w polityce zagranicznej Francji. Odbywa się on powoli i stopniowo. Przedstawiciele rządu powołują się jeszcze wciąż na Brianda i na ciągłość powojennej polityki Francji; uważają wciąż jeszcze Genewę za główny teren gry politycznej, mówią o gwarancjach międzynarodowych w zakresie bezpieczeństwa. Lecz widać coraz wyraźniej, że wszystko to traci coraz bardziej swój sens dotychczasowy, że poza tym parawanem słów i pryncypjów dojrzewa nowy system polityki francuskiej, a raczej powrót do starego, odziedziczonego systemu, do oparcia bezpieczeństwa kraju na sile własnej i na sojuszach. Moglibyśmy przytoczyć wiele przykładów, ilustrujących twierdzenie powyższe. Wystarczy przypomnieć stanowisko rządu p. Doumergue'a w sprawie rozbrojenia, uchwalenie dodatkowych kredytów wojskowych przez parlament i podróże p. Barthou do stolic różnych państw europejskich. Dotychczasowi ministrowie spraw zagranicznych Francji jeździli tylko do Genewy. P. Barthou w ciągu kilku miesięcy swego urzędowania był już w Pradze i w Warszawie, w obecnym zaś czasie udaje się do Bukaresztu i Belgradu, Londynu i Rzymu...

Rola, jaką Francja gra w świecie od czasu wielkiego zwycięstwa, odniesionego w ostatniej wojnie, sprawia, że stwierdzony powyżej zwrot w polityce francuskiej ma doniosłe znaczenie dla całej sytuacji międzynarodowej. Musi go także uwzględnić polityka polska, tyloma węzłami związana z polityką francuską. Musi go uwzglednić tembardziej, że według wszelkiego prawdopodobieństwa tendencje nowej polityki we Francji będą coraz silniejsze, że z czasem zapanują one całkowicie.

STANISŁAW KOZICKI

FRANKIŚCI

SEKCIARSTWO Jakóba Franka nie było nowym jego pomysłem. Stanowiło ono dalszy ciąg rozszerzonej już na Wschodzie i w Polsce nauki Sabbataja Cwi. Gdy wpływy sabbataizmu ustaliły się wśród pewnej części żydostwa polskiego, występują na widownię adepci Franka. Przyjmując z „mistrzem" pozornie katolicyzm, naśladowali oni analogiczny czyn pozornych mahometan *dönmähnów*. Nowochrzczeńcy rozumowali w ten sposób: jeżeli Sabbataj Cwi i jego zwolennicy porzucili wiarę ojców, dlaczegóżby oni nie mieli uczynić tego samego?

Przyjęcie wiary, panującej w Polsce, zapewniło zwolennikom Franka opiekę rządu i możnych panów, oraz ułatwiło walkę o byt, otworzywszy dla nich źródła zarobkowania, zamknięte dla Żydów. W praktycznych radach, jakie „mistrz" zostawił swoim „owieczkom", oprócz starania się wszelkiemi sposobami o bogactwa, zalecił im, by się oddawali warzeniu piwa i trzymaniu szynków oraz służyli w palestrze. Frankiści postarali się sumiennie spełnić nakazy swego przewódcy. Uregulowanie prawnego stanowiska zapewniło im swobodny rozwój. Zamożniejsi z nich rzucili się na pewne gałęzie działalności, dotąd uprawiane wyłącznie przez Niemców i w krótkim czasie doszli do znacznych majątków. Browary i gorzelnie znalazły się w rękach frankistów. Ubożsi oddali się drobnemu handlowi, nie gardząc i kramarstwem, które jako chrześcijanie mogli już prowadzić publicznie na pryncypalnych ulicach Warszawy. Upodobniwszy się do Polaków i ucywilizowawszy, zaczęli odgrywać, zwłaszcza w stolicy, pewną rolę. Dążyli oni do zdobycia wybitniejszego stanowiska w społeczeństwie i często zbyt rączo zabiegali około gromadzenia bogactw. Feliks Bentkowski, określając zalety i wady ówczesnych frankistów („Staroż. Polskie"), przyznaje im pracowitość, wytykając jednocześnie zapamiętałe bieganie za znaczeniem osobistem, krzykliwe popisywanie się dowcipem i wynajdywanie pobocznych dróg. Korzystając z tego, że w Statucie Litewskim był artykuł, uznający każdego neofitę *eo ipso* za szlachcica, uważali się oni w istocie za szlachtę bez osobnej nobilitacji sejmowej; ubierali się w kontusze, chodzili przy szablach, zajmowali urzędy, kupowali dobra ziemskie, jednem słowem, odgrywali rolę panującej warstwy narodu.

Opinja publiczna była początkowo dość przychylna dla frankistów, żywiąc nadzieję, że „chrzczeni żydzi, zaprzestawszy niszczenia miast i umartwienia ludu, na bardziej rodzajne przerzucą się pole i stawszy się ciałem Ojczyzny jednej, na podobieństwo pasorzytów krwi najdroższej wysysać nie będą" (Smoleński: „Stan i sprawa żydów polskich w XVIII w.", str. 34). Z czasem jednak zaczęto od-

nosić się podejrzliwie do nowochrzczeńców, nie wierząc w szczerość ich nawrócenia się. Społeczeństwo uważało ich za ludzi, którzy dla interesu zmienili religję. Brak zaufania wyraził się w projekcie Kodeksu Praw Sądowych, ułożonym przez kanclerza A. Zamoyskiego. Kodeks ten zezwalał neofitom na rozmowy z żydami tylko w obecności świadka-chrześcijanina. Niebawem dały się słyszeć głosy niechętne, oskarżające nowochrzczeńców o postępowanie dwuznaczne i najgorsze zamiary. Frankista, mówiono, nie jest to ani żyd ani chrześcijanin, podobien jednak do pierwszego z filuterstwa i z żyłki do szachrajstw. Oskarżano adeptów Franka, że, żyjąc w odosobnieniu, nie zachowują obrządków chrześcijańskich, że nie przyjmują sakramentów, żenią się tylko między sobą, obrzezują się nawet i potajemnie żydowskie odprawiają obrządki. Żyd szalbierz—jak mówiono,—dla pokrycia kradzieży, przemienił się tylko w Żyda kontuszowego, aby mógł łatwiej działać na szkodę kraju. „Żyd chrzczony, a wilk chowany to jedno“—zaczęto powtarzać. Oprócz zarzutów powyższych, uderzających w sprawę sumienia frankistów, podniosły się głosy, potępiające niewłaściwe zachowanie się neofitów w sprawach handlowych, co rujnowało kraj pod względem ekonomicznym. W memorjale deputacji dla miasta Warszawy, podanym przez Dekierta, skarżyli się mieszczanie, że „jest w Warszawie liczny gatunek ludzi luźnych, ustawicznie handle i szynki prowadzących, którzy formują jakieś oddzielne ciało, bynajmniej z powszechnością nie łączące się, i przepisy ulokowanego zagranicą patrjarchy swego egzekwujące... Tego gatunku lud, cały zbiór majątku i bardzo znaczny ukrywają w kieszeni, aby z nim w każdym czasie z kraju wynieść się mogli, a część znaczną takowych zarobków corocznie do swego patrjarchy wywożą i onego w dosyć znacznej figurze zagranicą utrzymują” (Kraszewski: „Polska w czasie trzech rozbiorów”, t. II. str. 47). Mieszczaństwo warszawskie lękało się więcej może frankistów, niż żydów, co do których uchwała sejmu czteroletniego brzmiała w sposób określony i kategoryczny, że w poczet obywateli miejskich nie będą dopuszczeni. Neofitom zaś zarzucano, że rzemieślnikom i kupcom sposób do życia zabierają, wciskają się wszędzie i są niechlujni.

Niechętnie odniosła się też do neofitów szlachta. Zamożniejsi frankiści zaczęli osiadać na wsi, skupując dobra ziemskie. Do tego zachęcała i ta okoliczność, że Statut Litewski dopuszczał wszystkich wychrztów do praw szlacheckich, a w Koronie przez sam zwyczaj żadnemu nie odwiano tego zaszczytu. Światlejsi Polacy zrozumieli, coby się stało ze szlachtą polską, gdyby wszyscy żydzi poszli za tym przykładem. Izraelska szlachta byłaby bez wątpienia stłumiła krajową, zakładając na północy panowanie swego plemienia. Dlatego też na sejmie konwokacyjnym w 1764 r., z uwagi, że neofici — „z krzywdą rodowej szlachty do posesji i dóbr ziemskich się cisną”, — prawo to i zwyczaj zostały uchylone i w ciągu dwóch lat nakazano wychrztom pod konfiskatą zbyć w Koronie wszystkie dobra ziemskie, na Litwie zaś, na mocy oddzielnej konstytucji, rozciągnięto działanie tego przepisu na samą tylko przyszłość.

Zagrożonym frankistom pośpieszyli z pomocą rojni i i wpływowi potomkowie dawnych neofitów. Za ich staraniem Stanisław August otrzymał na „usilne żądanie” posłów litewskich pozwolenie, by corocznie dziesięciu wychrztów lub ich potomków zaszczycił klejnotem szlachectwa. Im też zawdzięczali nowoupieczeni katolicy ogłoszenie w 1768 r. konstytucji, która przyznała wszystkim żydom, ochrzczonym przed prawem z 1764 r., — szlachectwo.

Prawie wszyscy frankiści, z nielicznemi wyjątkami, przyjmowali nazwiska polskie. Spełniali oni nakazy „mistrza”, które brzmiały dosłownie: „Dzieci wasze nie będą zwane waszem imieniem. Dam wam nowe nazwiska, również i dzieciom waszym...”. (Frag. 1486, 1914). Nazwiska neofitów powstawały od nazw miesięcy względnie dni, w których oni się chrzcili, od imion żydowskich lub chrześcijańskich, od nazwy kościoła, gdzie odbył się chrzest i od miejscowości, z których pochodzili. Zdarzało się także, że chrześniacy przybierali nazwiska rodziców chrzestnych w przeróbce albo bez zmian.

Frankiści tworzyli stale gromadę nieszczerych neofitów, obcych swojemi obrzędami i pochodzeniem ludności chrześcijańskiej. Pierwsi towarzysze Franka wymierali, dorastało drugie pokolenie, kształcące się w polskich szkołach, a stosunek ich do społeczeństwa rdzennego pozostawał zawsze jednakowy. Trzymając się ciągle razem, żeniąc się pomiędzy sobą, spełniali oni tylko nakaz przewódcy, dany ojcom, a przekazany im. Brzmiał on: „Rozkazywałem wam, aby dzieci wasze łączyły się z sobą: córkom dam mężów z pośrodka młodzieńców zacnych, godnych i lepszych od ich rodziców. Także młodym chłopcom dam córki wasze...” (Frag. 1486, 1914). Nazewnątrz frankiści ciążyli do katolicyzmu, bywali na nabożeństwach, przystępowali do wszelkich sakramentów, faktycznie jednak odprawiali w dalszym ciągu jakieś tajemicze obrzędy i miewali osobne schadzki. Z ludnością rdzenną nie łączyli się, wystrzegając się szczególnie nawiązania bliższej łączności z Polkami. Niedarmo w „Biblji bałamutnej” Franka czytamy: „Mężczyzna nigdy nie odprawi człowieka od drogi boskiej, tylko ta cudza kobieta; ona namówi, bo białogłowa ciągnie ludzkie serce do siebie... Izraelitowie są porównani do gołębia... a gdybyście byli bracią w całości, tobyście się nie łączyli z innym gatunkiem”. Frankiści spełnili dokładnie też nakaz „mistrza” co do „mieszania się w narody” („Biblja bał.” str. 367). Albowiem właściwą treścią dzieła Franka było wprowadzenie, w myśl idej Mojżesza Majmuniego, gromady żydów do narodu polskiego. Było to największą zasługą jego dla światowego żydostwa; fakt historyczny tak niedoceniany, a w skutkach arcytragiczny dla nas.

Trwając w dziwnem swem położeniu pozornych chrześcijan (przynajmniej nazewnątrz), wypłynęli frankiści polscy w polemice publicystycznej podczas sejmu czteroletniego, która zwracała się nie bez powodzenia przeciwko nim. Sejm czteroletni zajął się w 1790 r. sprawą frankistów, których podówczas w samej Warszawie liczono przeszło sześć tysięcy. Większość posłów nie była zadowolona z szybkiego wzrostu liczby pozornych chrześcijan w Polsce. Uwydatniło się to wyraźnie w projekcie reformy stosunków prawnych żydostwa polskiego, wniesionym do laski marszałkowskiej. Czytamy tam w Rozdziale I §§

XII i V: „Żaden żyd do chrztu przyjętym nie będzie, chyba mężczyzna w roku dwudziestym, kobieta w r. 18-tym, i to po roku uczynionego doświadczenia... ktokolwiekby porwał i ochrzcił osobę z ludu żydowskiego... ten jako gwałtownik karany będzie..." Dążenie sejmu czteroletniego do powstrzymania zwiększania się liczby neofitów żydowskich, która stale wzrastała, gorąco poparł w swojej rozprawie o żydach — Czacki; prace jego są często cytowane przez historyków żydowskich.

Ani sejm, ani pisma, ogłaszane w tym czasie, nie wyjaśniły jednak głównego celu istnienia frankistów. W literaturze sprawę neofitów poruszało przedewszystkiem duchowieństwo, które upatrywało w ówczesnych działaniach nowochrzczeńców kwestję przeważnie natury religijnej. Prace, pisane przez duchownych, nie wychodziły poza sferę kościelnych dogmatów i nie wkraczały w dziedzinę reformy społecznej i rasowej. Świeccy pisarze zaś identyfikowali w swoich pismach często kwestję neofitów z kwestją żydowską, podając dla obu jedne i te same środki. Proponowali oni zwrócenie wychrztów do rzemiosł i roli, zabronienie im zajmowania się przekupstwem i dzierżawienia więcej szynków nad jeden.

Ostro zaatakował frankistów bezimienny autor broszury p. t. „Dwór Franka czyli polityka nowo-chrzczeńców". Czytamy tam, że „Nowochrzczeńcy oszukują powierzchowność, przebierają się w mundury, zowią się baronami, życie prowadzą wystawne i podszywają się pod cudze nazwiska. Jest to zaraza w kraju, jedna z najjadowitszych, której ustrzec się nikt nie jest mocen. U nich można widzieć chłopaków, po kilka lat mających, obrzezanych... Neofita każdy jest oszustem, intrygantem, zazdrosnem okiem patrzącym na cudzą krwawą pracę, którą wydrwioną wykrętami pragnie się wzbogacić. Jest dumnym, podejrzliwym, bez religji, krzywoprzysiężcą, przekupującym świadków fałszywych, fałszerzem trunków... Podług talmudu szabaty odprawia i z żydami ścisły kontakt utrzymuje".

Odzywały się pozatem głosy przeciwko częstym nobilitacjom neofitów na sejmie czteroletnim, liczącym wśród posłów wielu wpływowych kryptożydów. Liczne broszury prawiły o nowokreowanej szlachcie pochodzenia żydowskiego, która zapełniała szeregi szlachty rdzennej, przerzedzone podczas konfederacji barskiej.

STANISŁAW DIDIER

WYCHOWANIE SPOŁECZNE WSI POLSKIEJ

WYCHOWANIE społeczne jest pracą żmudną, wymagającą wielkiego wysiłku i systematyczności. Ma ono na celu wytworzenie i utrwalenie nowych, określonych cech w społeczeństwie. Trzeba pokonać szereg trudności, przedewszystkiem trudności, tkwiących w psychice narodu i spuściźnie wieków.

Wiele jednak nawet bardzo trudnych rzeczy się robi, jak się musi. A my, Polacy, musimy wychować nasze społeczeństwo, jeżeli chcemy istnieć i jeżeli chcemy, żeby Polska była wielkiem mocarstwem.

Wiem, że nadawanie takiego znaczenia wychowaniu społecznemu wśród polityków obozu rządzącego spotka się z zasadniczym sprzeciwem. Później wyjaśnię, dlaczego. Niema to jednak wagi, ani dla samego zagadnienia, ani dla szeroko pojętej pracy dla przyszłości narodu.

Postaram się dać krótką definicję wychowania społecznego. Polega ono na wpajaniu w społeczeństwo poczucia i szacunku dla prawa, nie w ciasnem znaczeniu kodeksowem, ale w znaczeniu szerokiem, prawa opartego na etyce chrześcijańskiej i uświadomieniu narodowem. Jeżeli całe społeczeństwo, wszyscy jego członkowie, wychodząc z powyższych założeń, wiedzą dokładnie i we wszystkich wypadkach, czego od społeczeństwa wymagać dla siebie i co społeczeństwu obowiązani są dać sami, to takie społeczeństwo jest wychowane.

Gdyby taki ideał w praktyce osiągnięto, należałoby skasować sądy i policję, jako instytucje niepotrzebne. Może to kiedyś nastąpi, jako-że ludzkość zdąża ku dobremu. Tymczasem jednak społeczeństwa winny starać się o osiągnięcie pewnego, możliwie najwyższego, szczebla wychowania społecznego.

Znaczenie wychowania społecznego najłatwiej ocenić, gdy się rzuci myślą na niektóre jego skutki. Społeczeństwo wychowane ma poczucie obowiązku, jako całość. Ustawa, dekret i nakaz nigdy nie zastąpią inicjatywy jednostkowej, zrozumianej przez Naród. Wtedy góry przenosić można. Wtedy ginie bezduszna automatyzacja, zwana dziś bezmyślnie karnością, a na jej miejsce zjawia się zbiorowa dobra wola, która ma siłę tytanów.

W społeczeństwie takiem zmniejsza się do *minimum* rola administracji, policji i sądownictwa, powstaje więc zjawisko o niesłychanej doniosłości ekonomicznej — zmniejszenie elementu pasorzytniczego i zużytkowanie wszystkich sił dla produkcji duchowej i materjalnej.

Dalej, armja przez takie społeczeństwo stworzona, to armja zwycięska. Najlepsza musztra formalna i wyszkolenie bojowe nie zastąpią w armji ducha poświęcenia i patrjotyzmu. Bez tego niema zwycięstwa. Japonja, Francja czy Niemcy, mając wychowane społeczeństwa, mają najlepsze armje świata.

O korzyściach, płynących z wychowania społecznego, możnaby napisać jeszcze dużo, bardzo dużo. Uważam jednak, że wymienione są tak poważne, iż dla zrozumienia konieczności wychowywania społeczeństwa najzupełniej wystarczą.

Dla zobrazowania dotychczasowych w tej dziedzinie prac rządów polskich, od chwili odzyskania niepodległości, zajmę się bliżej włościaństwem, jako warstwą najliczniejszą, najbardziej ważką w strukturze naszych stosunków ekonomicznych, przytem najpierwotniejszą, najzdrowszą i najmniej tkniętą przez różne eksperymenty. Pozatem rola włościaństwa, jako warstwy społecznej, dopiero się zaczyna i należy przypuszczać, że dalszy naturalny rozwój stosunków w Polsce utworzy z włościaństwa warstwę

główną, tak że w dużej mierze przyszłość włościaństwa jest przyszłością Polski. Zobaczmy teraz, jak ta „przyszłość" do swej wielkiej roli została przygotowana.

Szesnaście blisko lat, dzielące nas od chwili odzyskania niepodległości, dały wielkie bogactwo systemów wychowawczych. Wyodrębniły się jednak trzy zasadnicze. Nazwę je „szkołami". Były więc: 1. Szkoła demagogji. 2. Szkoła obchodzenia prawa. 3. Szkoła bezprawia.

Okres 1918 — 1926 był szkołą demagogji. Ludowe partje polityczne tłumaczyły włościaństwu, że jest ono w Polsce wszystkiem. W okresach wyborów wpajano w chłopa, że wobec Państwa nie posiada on żadnych obowiązków, natomiast należą mu się od Państwa wszelkie prawa. Pod wpływem agitacji t. zw. partyj ludowych niejeden chłop polski uwierzył, że jest istotą nadludzką, półbogiem i maluczko, a zostanie wraz z rodziną i dobytkiem poprostu wniebowzięty. Nie trzeba tłumaczyć, że „szkoła demagogji" wytworzyła wielkie zło społeczne. Ukazała chłopu świat nierealny, stworzony przez nieuczciwą fantazję prowodyrów.

Po roku 1926 chłop polski przekonał się, że miejsce mu dają nie w niebie, ale zgoła gdzieindziej. Nie odrazu, bo z początku próbowano mu wmówić, że on jest współautorem przewrotu, wskutek czego będzie z niego korzystał tak, jak mu to na wiecach obiecywano. Był to zenit fałszywości położenia politycznego chłopa polskiego.

Część prawdy zobaczył chłop podczas okresu „radosnej twórczości". Ten okres nazywam „szkołą obchodzenia prawa". Na zebrania gromadzkie przyjeżdżali panowie z obozu rządowego, palili duby smalone o bogactwie Polski i włościaństwa i namawiali do inwestycyj i potępionego dziś „stawiania pomników". Chłop z początku wierzył i uchwalał, póki się nie przekonał, jak naprawdę wyglądał budżet gminy, koszty budowy szkoły-pałacu, szosy i t. p. Wtedy przestał wierzyć i uchwalać. Wobec tego wprowadzono „szkołę bezprawia". Zaczęła się ona ustawą samorządową, a dobitnie wyraziła techniką i sposobem przeprowadzenia wyborów samorządowych. Chłop się przekonał, że nietylko do nieba mu daleko, ale już jako jednostka społeczna nie znaczy absolutnie nic. Trudno dziś mówić o przeprowadzeniu do samorządu ludzi, posiadających zaufanie ogółu, a o wszystkiem decydują chłopu nienawistni, dziwnie bez talentu mianowani „prorządowcy".

Po przejściu tych trzech „szkół wychowania społecznego" chłop się wykoleił. Nie ma już najmniejszego pojęcia, jakie jest jego właściwe stanowisko społeczne, tyle razy mu to tłumaczono, a za każdym razem inaczej. Do złego poczucia moralnego dołącza się coraz dotkliwszy kryzys gospodarczy. Produkowane przez wieś wyroby z dnia na dzień tanieją, nie tanieją natomiast różne wyroby przemysłowe, i nie zmniejszają się podatki. W tych warunkach chłop polski szybko się staje jednostką aspołeczną. Do obowiązków społecznych się nie poczuwa, zresztą mu to wyperswadowano, co do praw, chodzi mu tylko o prawo życia i uniknięcia śmierci głodowej.

Taki jest więc bilans dotychczasowego wychowania społecznego wsi polskiej. Twierdzę z całą stanowczością, że dziś chłop polski jest mniej patrjotyczny, niż za czasów zaborczych. Tak się więc „buduje przyszłość narodu", jakby doświadczenie wieków i niewola nic nie nauczyły.

* * *

W tym, ogarniającym nasz naród mroku, błysnęło jednak światło. Odwieczny, samozachowawczy instynkt ludu polskiego ostrzegł go w porę. Dziś zbliża on się gromadnie i zaciąga do obozu, który przez wiele lat zohydzała w jego oczach zorganizowa w filje ludowe — masonerja. To żaden cud, tylko zwykła logika. Zdrowy człowiek przylgnął do zdrowego programu. Wspaniały, silny, pierwotny twór Matki - Przyrody poszedł po linji, przez prawa Przyrody nakreślonej, opartej na rasie i pochodzeniu człowieka. Ilość i siła zespoliły się z intelektem w zawiązek Wielkiej Polski. Nastąpiło wzajemne porozumienie i zaufanie. Chłop polski wie, że Obóz Narodowy okłamywać go nie będzie, że potrafi mu wskazać miejsce właściwe w społeczeństwie, dać mu prawa i nauczyć obowiązków. Tylko bowiem w atmosferze absolutnej prawdy i uczciwości można rozpocząć wychowanie społeczne wsi polskiej.

SZYMON SZAFRAŃSKI

POLSKIE DĄŻENIA MORSKIE ZA PIASTÓW

(Dokończenie)

MIESZKA STAREGO myśli pomorskie odziedziczył syn i następca, Władysław Laskonogi (1202 — 1206). Za jego czasów Waldemar Zwycięski rozpuścił zagony duńskie po Pomorzu, zmuszając do hołdu (z zespolonej jeszcze ściśle z resztą Polski części wschodniej Pomorza) księcia Mszczuja, szwagra Laskonogiego. Laskonogi, choć musiał już ustąpić przed możnowładcami z Krakowa, pamiętny wskazówek swego ojca, pomagał wytrwale Mszczujowi w odpieraniu zakusów duńskich, choć nie znalazł poparcia wśród reszty Piastów, a sam ledwie się trzymał w swej wielkopolskiej dzielnicy. Choć Pomorze nadodrzańskie było już dla Polski właściwie stracone, jednakże następca Laskonogiego, Leszek Biały (1206 — 27), pilnował się Pomorza nadwiślańskiego i na pierwsze wiadomości, że jego namiestnik gdański, książę Swiętopełk, syn Mszczuja, zaczyna wyłamywać się z pod władztwa krakowskiego, ruszył na buntownika. Potrafił Leszek zjednoczyć wszystkich swoich krewniaków dzielnicowych i w 1227 r. podążył na czele

związkowych hufców ku Nakłu, w którem zasiadł Swiętopełk. Atoli zdrada jednego z Piastowiczów, Władysława Plwacza, żonatego z siostrą Swiętopełka, udaremniła wyprawę i z jego pomocą Swiętopełk napadł niespodziewanie Leszka w Gąsawie. Leszek zginął podczas napadu i z tą chwilą pozostałe jeszcze przy Polsce Pomorze wschodnie oddzieliło się od macierzy, a buntowniczy Swiętopełk nazwał się w 1233 r. „księciem Pomorza z Bożej łaski".

Ślepota polityczna, jaka opanowała polskich książąt dzielnicowych, maluje się najlepiej w dwóch faktach. Pierwszy z nich, to sprowadzenie zakonu Teutońskiego przez brata Leszka Białego, księcia Konrada Mazowieckiego, i oddanie na pastwę temu zakonowi niemieckiemu całej połaci kraju między dolną Wisłą i Niemnem, stanowiącej przedłużenie Pomorza. Działo się to w 1228 r. Drugi fakt, to dopuszczenie do wciskania się między rdzenną Polskę a Pomorze marchji brandenburskiej. Marchja ta została założona w drugiej połowie XII stulecia na ziemi słowiańskich Hawelan po bezpotomnym zgonie ostatniego księcia z dynastji słowiańskiej, Przybysława, pana na Braniborzu (niem. Brandenburg). Nowi władcy, margrabiowie brandenburscy z domu askańskiego, częściowo wytępili, a częściowo zniemczyli słowiańską ludność tubylczą i zaczęli systematycznie posuwać się na wschód. Wkrótce uzyskali oni przewagę nad książętami Pomorza nadodrzańskiego, odpadłego już od Polski, zajęli Lubusz (niem. Lebus) nad środkową Odrą i opanowali zamek w Santoku przy ujściu Noteci do Warty. Idąc dalej, zaczęli się wtrącać Brandenburczycy do spraw Pomorza nadwiślańskiego i zdołali nawet wzniecić w niem powstanie sprowadzonych niemieckich kolonistów przeciwko synowi buntowniczego Swiętopełka, Mszczujowi II-mu, poczem zmusili Mszczuja do złożenia im hołdu z dwóch jego miast rodowych: Sławna i Słupska. W ten sposób margrabiowie brandenburscy w 1270 r. wcisnęli się między Polskę a Pomorze i doszli do brzegów Bałtyku.

W Polsce atoli zaczął się już budzić ruch zjednoczeniowy. Poszedł on tradycyjnie z Wielkopolski, prastarej macierzy monarchji piastowskiej. Utwierdził go mocno w swojej rodzinie Mieszko Stary, a wybuchnął on z całą siłą za jego praprawnuka, Przemysława II, księcia poznańskiego. Piastowie wielkopolscy, stykając się bezpośrednio z Niemcami, prącymi od północno-zachodniej ściany jako margrabiowie brandenburscy, i od północno-wschodniej, jako Krzyżacy (taką bowiem nazwę nadano rycerzom zakonu Teutońskiego), widzieli dokładnie niebezpieczeństwo, jakie im zagrażało. Łączyli się oni wielokrotnie przeciwko wspólnemu wrogowi zarówno z książętami nadodrzańskiego, jak i nadwiślańskiego Pomorza, kładąc na stronę nienawiść rodzinną przeciwko zabójcom Leszka Białego. O pomocy, udzielonej Mszczujowi, ojcu Swiętopełka, przez Laskonogiego przeciwko Duńczykom, była już mowa powyżej. Władysław Plwacz ożenił się z siostrą królobójcy Swiętopełka, Jadwigą, i był z nim stale w przyjaznych stosunkach. Synowie Plwacza, Bolesław Pobożny, książe kaliski, i Przemysław, książe poznański, wystapili z pomocą naciskanemu przez Brandenburczyków i Krzyżaków Mszczujowi II gdańskiemu, będącemu ich rodzonym wujem. Za tę pomoc wdzięczny Mszczuj uznał się lennikiem Bolesława Pobożnego w 1271 r., niwecząc przez to zbrodnię buntu i oderwania się od Polski, jaką popełnił jego ojciec. Synowiec Bolesława Pobożnego, a syn Przemysława poznańskiego, Przemysław II „Pogrobek", poszedł dalej. Był on już panem na całej Wielkopolsce, a od 1282 r. dziedzicem Pomorza nadwiślańskiego, które mu zapisał jego dziad wujeczny, wspomniany Mszczuj II, zastrzegając sobie jedynie dożywotnie rządy w charakterze lennika. Przez związki małżeńskie z córką księcia Henryka Pielgrzyma, pana na Wyszomierzu (niem. Wismar), żonatego z księżniczką szczecińską, odnowił związki rodzinne z książętami nadodrzańskimi i umocnił swe stanowisko. Dzięki posiadanym ziemiom wielkopolskim i pomorskim oraz wpływom bałtyckim, stał się Przemysław II-gi najpotężniejszym z Piastowiczów i w 1295 r. koronował się uroczyście na króla Polski i księcia Pomorza. Koronacja ta miała znaczenie olbrzymie. Przedewszystkiem zapowiadała ona zespolenie całej Polski, następnie podkreślała nierozerwalną łączność wybrzeża bałtyckiego z macierzą i wreszcie wskazywała Polsce jej drogę na zachód ku cywilizowanej Europie. Choć król Przemysław zginął w parę miesięcy później, zamordowany w Rogoźnie za poduszczeniem margrabiów brandenburskich, nie mogących przeboleć utraty pomorskich wybrzeży, choć Polskę zdołali opanować następnie Czesi, jednakże koronacja pozostała w pamięci i pojęcie Pomorza stało się trwale związane z pojęciem scalenia Polski.

Kontynuował prace Przemysława jego szwagier cioteczny, Władysław Łokietek, książę kujawski. Okrzyknęła go swym księciem ziemia wielkopolska, a on odrazu przyjął tytuł „władcy Królestwa Polskiego i Pomorza". Przetrwał on okupację czeską, przyczem okupant, król Wacław II, musiał się jednak koronować w Gnieźnie, chcąc skłonić na swoją stronę rycerstwo polskie i działając mimowoli w myśl testamentu zamordowanego Przemysława. Po wypędzeniu Czechów, Łokietek zajął Wielko - i Małopolskę oraz Pomorze. Lecz o tę ziemię pomorską wybuchnęła odrazu walka z triumfującą podówczas nad Bałtykiem niemczyzną. Pierwszy cios wymierzyli w 1308 r. rywale z zachodu, margrabiowie brandenburscy, zajmując niespodziewanie Gdańsk. Wyzyskali oni chwile, kiedy jednoczący w swych rękach całą Polskę Łokietek musiał poskramiać bunty hanzeatyckiego mieszczaństwa we wszystkich ważniejszych grodach polskich. Przeciwko najazdowi brandenburskiemu Łokietek zwrócił się o pomoc do Krzyżaków, którzy dotychczas byli z nim w dobrych stosunkach i walczyli głównie z Prusami. Radził Łokietkowi zawrzeć taki sojusz przeor dominikanów gdańskich, rodem Niemiec. Skutki tej rady nie dały długo czekać na siebie: Krzyżacy rzeczywiście wyparli Brandenburczyków z Gdańska, lecz nietylko nie chcieli go wydać Łokietkowi, ale nawet wyrzucili z zamku stojący tam polski garnizon i urządzili krwawą rzeź całej ludności polskiej w nocy 5 sierpnia 1308 r. Niezwłocznie po rzezi gdańskiej uderzyli Krzyżacy na pozostałe grody Pomorza nadwiślańskiego i, mimo rozpaczliwego oporu załóg łokietkowych, w ciągu jednego roku zajęli cały kraj. Atoli Władysław Łokietek nie dał za wygraną. Musiał on walczyć na dwa fronty: zewnętrzny z Czechami,

roszczącymi pretensję po Wacławach, i wewnętrzny z niechcącymi go uznać Piastowiczami śląskimi i kujawskimi oraz z niemieckiem częstokroć mieszczaństwem w miastach (tu się odezwały macki Hanzy). Walkę o Pomorze pojmował dzielny Piast, jak jego przodkowie z X i XI wieków, jako walkę o utrzymanie niezależności kraju. Walcząc nazewnątrz i nawewnątrz, nie spuszczał on z oczu bałtyckich brzegów. Nie mając jeszcze dostatecznych sił do walki otwartej o dostęp do Bałtyku, zastosował przedewszystkiem środki dyplomatyczne, zwracając się do papieża Jana XXII-go. Po długich staraniach zapadł w 1321 r. wyrok kurji rzymskiej, nakazujący Krzyżakom zwrot Pomorza. Zakon teutoński, nabywszy uprzednio za 10000 grzywien srebrem pretensje margrabiów brandenburskich, którzy pamiętali o hołdach mszczujowych ze Słupska i Sławna, wzdragał się z oddaniem zagrabionej ziemi. Łokietek szykował się dalej, działając niezależnie od toczączch się negocjacyj w Rzymie. Przeciwko kumającym się z Krzyżakami Brandenburczykom zawarł przymierze w 1315 r. z Danją, a kiedy Krzyżacy w odpowiedzi na ten sojusz sprzymierzyli się przeciwko Polsce z Warcisławem IV, księciem szczecińskim, robiąc mu niewyraźne widoki na skrawki Pomorza nadwiślańskiego, obejrzał się Łokietek w 1325 r. za pogańską Litwą. Litwa była podówczas mocno naciskana zarówno od Niemna przez Krzyżaków, jak i od Dźwiny przez Kawalerów Mieczowych, którzy połączyli się w owym czasie z Zakonem Teutońskim, zachowując jedynie pewną autonomję. Wspólny wróg i wspólne niebezpieczeństwo zmusiły w. księcia Gedymina do zawarcia przyjaźni z Łokietkiem, już namaszczonym i koronowanym królem Polski. Na zamek wawelski zjechała księżniczka litewska, Aldona, poślubiając młodego następcę tronu, księcia Kazimierza, a jednocześnie komendant litewskiego Grodna, Dawid, z 1000 rycerzy gedyminowych poszedł razem z wojskiem Łokietkowem na brandenburską ziemię. Od Czechów zabezpieczył się król polski związkiem rodzinnym z monarchą węgierskim, Karolem Robertem, wydając zań zamąż swą córkę, Elżbietę. Wreszcie, wzmocniwszy się na siłach i mając zabezpieczone granice, uderzył Łokietek wstępnym bojem na Krzyżaków w 1328 r. Szedł on wprost na Pomorze, wiodąc posiłki litewskie i węgierskie. Walka była ciężka i, mimo zwycięstwa Łokietka pod Płowcami, nie dała pożądanych wyników, a w trakcie jej umarł sędziwy wskszesiciel jednolitej monarchji piastowskiej.

Wojnę pomorską miał toczyć jego syn i następca, Kazimierz Wielki (1333 — 1370). Przeszedł on na układy, podpisując rozejm z Krzyżakami w dniu swej koronacji i oddając sprawę pomorską na kongres do Wyszehradu w 1335 r. Kongres ten przyznał Polsce tylko zwrot zagarniętych jeszcze po płowieckiej potrzebie Kujaw, a Pomorze nadwiślańskie zostawiał Krzyżakom. Kazimierz zaapelował znów do papieża Benedykta XII-go, który sprawę polecił przejrzeć ponownie swemu nuncjuszowi na kongresie w Warszawie w 1339 r. Polska tutaj wygrała, bo przysądzono jej zpowrotem Pomorze, lecz Krzyżacy znów nie chcieli wykonać wyroku. W całej Polsce, szczególniej w ziemiach wielkopolskich, panował zapał do walki z Krzyżactwem. Miasta, choć mające dużo jeszcze żywiołu niemieckiego, lecz pozbawione zysków z handlu gdańskiego, który zakon Teutoński uważał za swój monopol, szły w zawody z ziemiaństwem. Kazimierz Wielki, mając spokój od strony litewskiej i węgierskiej, a *eo ipso* i czeskiej, rozpoczął tworzenie koalicji antykrzyżackiej. Zwrócił się on tedy na Pomorze nadodrzańskie, wydając swoją córkę, Elżbietę, za księcia szczecińskiego Bogusława V-go, syna Warcisława, który występował przeciwko Łokietkowi. Wojnie tej zaczęło się jednak sprzeciwiać duchowieństwo i możnowładztwo małopolskie, które zmusiło Kazimierza do zawarcia traktatu Kaliskiego w 1343 r., zwracającego Polsce coprawda Kujawy, lecz oddającego Krzyżakom Pomorze nadwiślańskie. Kazimierz Wielki zwrócił się na wschód, na Ruś Czerwoną, lecz sprawy pomorskiej nie zapomniał. Wiedział on dobrze, że wojna z potężniejącym coraz więcej zakonem niemieckim jest ryzykowna dla świeżo odbudowanego królestwa polskiego. Chciał on Polskę wzmocnić i przygotować do rozstrzygającej rozprawy. Nawiązał więc przedewszystkiem zażyłe stosunki z Litwą, a następnie zajął się myślą o tworzeniu wielkiej monarchji polsko-węgierskiej, dla której byłaby niestraszna niemiecka nawała. Pozatem nie spuszczał on z oczu Pomorza nadodrzańskiego,którem władał jego wnuk z córki Elżbiety, książę Kazimierz, pan na Szczecinie. Kazimierz Wielki widział w tym wnuku swoją ostoję na Pomorzu. Przedewszystkiem spowinowacił go z Litwą, doprowadzając do skutku małżeństwo między nim a córką swego szwagra, księcia Olgierda litewskiego, Kenną. Ponadto starał się w Rzymie o poddanie metropolji gnieźnieńskiej dwóch biskupstw pomorskich: chełmińskiego i kamieńskiego. Naprężenie stosunków między Polską a Krzyżakami było w 1360 r. tak silne, że Kazimierz Wielki wybudował na granicy polsko-litewsko-krzyżackiej w Rajgrodzie na Podlasiu silną twierdzę, która miała służyć za podstawę operacyjną dla sprzymierzonych sił polsko-litewskich. Hasłem do wtargnięcia miał być wybuch powstania ludności polskiej na Pomorzu nadwiślańskiem. Rzeczywiście, w rok później, akurat w rocznicę rzezi gdańskiej, nastąpił rokosz w Gdańsku, przyczem powstańcy wznieśli okrzyk wojsk królewskich: „Kraków". Niestety, wybuch ograniczył się prawie wyłącznie do Gdańska, bo załogi krzyżackie umiały trzymać żelazną ręką zajętą prowincję i dywersja polska nie doszła do skutku. Kazimierz Wielki po 1361 r. zajął się już tylko intensywnie cementowaniem scalonego państwa, gotując je dla swego następcy, królewicza węgierskiego Ludwika, który w myśl zamierzeń Kazimierzowych, miał przystąpić do ostatecznej walki o Pomorze. Ta przyszła wojna miała zwrócić Polsce nietylko zagrabione za czasów Łokietka Pomorze nadwiślańskie, lecz powinna była przyciągnąć do niej także utracone jeszcze za Kędzierzawego Pomorze nadodrzańskie. W tym celu specjalnie forytował ostatni Piast swego wnuka Kazimierza szczecińskiego, zapisując mu Kujawy i łącząc go przez to bardzo silnemi węzłami hołdowniczemi z Polską. Kazimierz Wielki uważał słusznie, że lennik z Kujaw stanie się automatycznie hołdownikiem z Pomorza nadodrzańskiego. Wykonaniem tych planów mieli się zająć spadkobiercy ostatniego Piasta.

WITOLD HUBERT

NA WIDOWNI

Zapomniana rocznica. — Przywilej jedlneński. — Jego cywilizacyjne znaczenie.— Pierwotne pojęcia prawne.— Sprawiedliwość w organizacji opolnej.—Zwyczaje tubylców australijskich.— Wartość poczucia bezpieczeństwa.

NIEPOSTRZEŻENIE, bez obchodów uroczystych i akademij, minęło w roku ubiegłym pięćsetlecie wielkiego wydarzenia historycznego, jakiem był t. zw. przywilej jedlneński, nadany przez Władysława Jagiełłę rycerstwu koronnemu dnia 3 stycznia 1433 r. Pamiętny przywilej, dokładnie formułujący słynną zasadę „*neminem captivabimus*": zapewnienie, iż nikt (z wyjątkiem schwytanych na gorącym uczynku zbrodniarzy) nie może być ani pozbawiony wolności, ani karany, bez rozpatrzenia przez właściwy sąd jego winy i bez prawomocnego wyroku skazującego.

Z kornem uczuciem zdejmuję z półki ciężką, w skórę oprawną księgę: „*Volumina legum*", tom I, zawierający zbiór najdawniejszych polskich praw, konstytucyj, przywilejów, poczynając od Statutów Wiślickich Kazimierza Wielkiego, wydany staraniem zakonu OO. Pijarów w Warszawie, w Roku Pańskim 1732. Z pożółkłych kart przepisywać zaczynam *privilegium* Jagiełłowe: „...*Caeterum promittimus et spondemus: Quod nullum terrigenam possesionatum pro aliquo excessu seu culpa capiemus, aut capi mandabimus; nec aliquam vindictam in ipse faciemus, nisi judicio rationabiliter fuerit convictus: et ad manus nostras, vel nostrorum Capitaneorum, per Judices eiusdem Terrae, in qua idem terrigena residet, praesentatus*"[1]).

Dostojnie brzmią te z rozwagą dobierane słowa, ścisłe formuły, starannie w paragrafy ułożone: pamiątka czasów, kiedy wielcy polscy prawnicy, Paweł Włodkowic, Stanisław ze Skarbimierza i inni, uczonością swoją podziw wywoływali w Europie. Ze zrozumiałą dumą wczytujemy się w ten starożytny dokument, o dwieście lat zgórą wcześniejszy od sławnego angielskiego *Habeas Corpus Act*'u. Jakie tu poszanowanie godności ludzkiej, zabezpieczające jednostkę przed samowolą władz administracyjnych, gwarantujące, iż jedynie prawidłowo wydany wyrok sądowy może przyprawić ją o utratę osobistej swobody! (Już poprzednio, przywilejem czerwińskim z roku 1422, oddzielono władzę wykonawczą od sądowniczej, ustalając, iż żaden sędzia ziemski nie może pozostawać równocześnie starostą danej ziemi). Jakie tu poczucie sprawiedliwości, dbałość o to, ażeby ktoś nie został ukarany bezpodstawnie, przed sądowem dowiedzeniem jego przestępstwa! I jakie świadectwo niezapomniane wysokiej, chrześcijańskiej cywilizacji, będącej owej Polski Jagiellońskiej orężem najpewniejszym, największe przynoszącym jej podboje!

Zapewne, dla człowieka dwudziestego stulucia, o zachodnio-europejskim sposobie myślenia, zasady te wydają się rzeczą naturalną i oczywistą, nie wątpi o tem, że karząca ręka państwa winna dosięgać jedynie osoby winowajcy, że stosowanie sankcyj musi być poprzedzone potępieniem sądowem sprawców czynu przestępczego i wyłącznie przeciwko nim skierowane. Cywilizowanemu Europejczykowi nie łatwo wyobrazić sobie, żeby wogóle zagadnienia podobne mogły być kiedykolwiek przez kogokolwiek ujmowane inaczej. W rzeczywistości jednak odmienna całkiem jest pod tym względem umysłowość ludzi pierwotnych.

W początkowym okresie naszych dziejów istniał np. system wymiaru sprawiedliwości, oparty na t. zw. organizacji opolnej *(vicinia)*, polegający między innemi na tem, że „jeżeli w obrębie opola zostało popełnione zabójstwo, a sprawcy tego zabójstwa nie można odszukać", pociągało się do odpowiedzialności karnej wszystkich mieszkańców tych kilkunastu czy też kilkudziesięciu osad, które razem stanowiły opole[2]). O tych prymitywnych urządzeniach prawnych na ziemiach naszych nie wiele dochowało się wiadomości, ponieważ — jak zaznacza Oswald Balzer — już w okresie pierwszych historycznych władców piastowskich samorząd opolny był właściwie instytucją stopniowo zanikającą, rozkwit zaś jego przypadał przedewszystkiem na tę odległą epokę, którą zajmuje się już nie dziejopisarstwo nawet, ale archeologja.

Pierwotne pojęcia o sprawiedliwości, mającej charakter „*vendetty*", o tyle nam jednakowoż łatwiej zrozumieć, że i w dzisiejszych czasach możemy widzieć ten najniższy szczebel rozwoju myśli prawniczej, mianowicie wśród tubylców Australji, Polinezji, Afryki zachodniej i środkowej i t. d. Tak np. u krajowców australijskich w wypadkach ciężkich zbrodni, w szczególności zabójstwa, „winowajca" musi się zawsze odnaleść, a jeżeli nie udaje się stwierdzić objektywnie jego osoby, „ludzie starzy lub czarownicy" wyszukują jakiegokolwiek człowieka, „naturalnie zwykle w innem plemieniu", przeciw któremu zwraca się „ekspedycja mszcząca" pokrzywdzonej grupy lokalnej czy też klanu[3])

Miarą poziomu cywilizacyjnego społeczności jest — między innemi — stopień poczucia bezpieczeństwa, jakie posiada jednostka, przeświadczona, że nie może paść ofiarą samowoli, że ochrania ją puklerz prawa, że nie będzie karana za winy niepopełnione i t. d. To poczucie bezpieczeństwa w epoce jagiellońskiej podniesione zostało bardzo wysoko, ono właśnie, — w niemałej mierze — powodowało ową „słodycz życia" staropolskiego, którego urok tak pociągał i asymilował ludy ościenne. O tem wszystkiem godzi się przypomnieć w momencie, kiedy lat już zgórą pół tysiąca minęło od chwili zatwierdzenia przywileju jedlneńskiego...

JAN REMBIELIŃSKI

[1]) „...Tedy obiecujemy i ślubujemy: że nikogo z rycerstwa osiadłego [dosłownie *terrigena* = urodzony z ziemi, wogóle: człowiek] za żadne wykroczenie ani występek nie uwięzimy, ani nie polecimy uwięzić; ani żadnej pomsty na nim szukać nie będziemy, jeżeliby w sposób należyty nie został przez sąd skazany: i do rąk naszych, albo naszych Starostów, przez Sędziów tejże Ziemi, w której zamieszkuje, przywiedziony"...

[2]) Oswald Balzer „Historja ustroju Polski", zeszyt I, stenogram wykładu, wydany w r. 1931, za zezwoleniem Profesora, przez Bibl. Słuch. Prawa we Lwowie.

[3]) Patrz dzieło znakomitego uczonego, prof. Bronisława Malinowskiego p. t. „Wierzenia pierwotne i formy ustroju społecznego". Kraków 1915, wyd. Akad. Umiejętności.

O JANKU KASPROWICZU OPOWIEŚĆ KRUSZWICKA

PANI Marja Kasprowiczowa ofiarowała nam łaskawie w oryginale list, nadesłany jej z Kruszwicy z życzeniami noworocznemi i z wierszem, zawierającym wspomnienia o małym Janku Kasprowiczu. „Wiersz ten“—objaśnia p. Kasprowiczowa— „napisany przez człowieka, dzisiaj zdaje się już nieżyjącego, daje żywy i barwny obraz chłopca, jakim był Janek, gdy razem z towarzyszem zabaw pasał krówki. Ile razy go czytam, na nowo mnie wzrusza”.

Autorem wiersza jest ów towarzysz z Szymborza, krewniak Kasprowicza, dziś mieszkaniec Kruszwicy, Andrzej Gurdyszewski. W legendzie nazwał się Andrzejem Balcerkiem, Janka zaś nazwał Jasiem Gałązką. Tak kazało mu jakieś poczucie poetyckie, zalecające przebierać postaci autentyczne dla niepoznaki, jak w teatrze. Zarówno w liście, jak i w wierszu, nie zmieniając wyrazów i składni, poprawiamy błędy ortograficzne. Rękopis ołówkiem, ręką niewprawną kreślony. List uroczyście wystylizowany brzmi:

„Kruszwica, 25 grudnia 1931 r.

Najpierw przepraszam mocno, że sobie pozwalam i ośmielam pisać, będąc nieznajomy, lecz bliski krewniak ś. p. Wujka Jana, jako i Twój, kochana CTociu.

Droga Ciociu!

Lubo przy powinnościach, wypływających ze zwyczaju, często serce mało ma udziału, jest przeto dla tego, komu dobre powodzenie ukochanych osób jest tak drogie, jak jego własne, rozrzewniającem i miłem, gdy w dniach uroczystych ma sposobność wyrażenia tego, co jego serce napełnia. Z radością przesyłam Ci, kochana Ciociu, przy zmianie roku i schodzących świąt Bożego Narodzenia moje najszczersze życzenia, winszując nieprzerwanego zdrowia, najdłuższego życia w gronie swych najmilszych i szczęśliwego powodzenia. Racz przyjąć odemnie te życzenia z właściwą sobie łagodnością i dobrocią, choć od nieznajomego, (który) czułby się mocno szczęśliwy, zapoznawszy się z Ciocią osobiście; (gdyby) miała raz kochana Ciocia okoliczność przybyć na Kujawy, to proszę mocno nie ominąć Kruszwicy i mego domu, a bądź przekonana, iż nigdy nie przestanę okazywać Ci moją wdzięczność i przywiązanie. Zostaję nauniżeńszym siostrzeńcem — jako najserdeczniejsze życzenia i pozdrowienie od mojej żony Joanny.

Andrzej Gurdaszewski

Wiersz, wypisany na drugiej połówce papieru listowego, autor potraktował widocznie jako upominek, o którym nie wypada wspominać w liście. Oto jego tekst:

NIECO Z DZIECIĘCYCH LAT Z WUJKIEM JANEM

Było sobie dwóch pastuchów, jakich było wiele,
byli z sobą pokrewnieni, byli przyjaciele.

Starszy zwał się Jaś Gałązka, chodził do gimnazji,
lecz po szkole pasał krówkę przy wolnej okazji.

Młodszy był Andrzej Balcerek, tak go wszyscy zwali,
a że byli przyjaciele, więc spólnie pasali.

Raz poszli z krówką tam na doły, to znów na sitowie,
lub popaśli gdzie na miedzy, albo gdzie na rowie.

Czasami wyprowadzili tylko za ogrody,
— „Andrzej, uważaj na Bestrą, by nie zrobiła szkody!“

Bo Janek zawsze z sobą, wszędzie książki włóczył,
i gdzie stał lub gdzie usiadł, to się zawsze uczył.

Lub rysował i malował, jak pijane draby
w błocie jak świnie się narali, lub kłóciły baby.

A do tego był mój Janek zawsze gotów, prędki
do wszystkiego i na wszystko układał piosenki.

I tych uczył rówienników, by śpiewali drabom,
co pijane w błocie leżą, lub kłótliwym babom.

Lecz to się niepodobało pijakom, kłótnicom,
i nieraz nam odgrażali kijem lub kłonicą.

I wreszcie im się naprzykrzyło i pękły te więzy
i poszli oskarżyć Janka staremu Gałęzy.

Janek ledwie przyszedł z szkoły i wszedł do chaty,
ojciec za Jankiem drzwi zamyka i w robocie baty.

A gdy go tak wygłaskał i puścił, chwała Bogu,
to Janek się nie obejrzał, jak na dołach przy stogu.

Gdy do stogu tu przybiegnął, to pot z niego kipiał,
Jaś od strachu przed swym Ojcem, przez tydzień tu sypiał.

Andrzej Jankowi zaniósł książki, do jeścia chwała Bogu.
i pomógł Jankowi zrobić dziurę, do spania w tym stogu.

NAUKA i LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W rocznicę narodzin Wergiljusza, ukazał się w „Myśli Narodowej“ artykuł o polskich przekładach tego poety. Od owego czasu dorobek wergiljuszowski w Polsce bardzo się wzbogacił i pojawiły się różne nowe przekłady, niekiedy udane, niekiedy i słabe (np. ekloga I w tłumaczeniu Brandstaettera), pojawiła się też wiadomość, że przekład II ks. „Eneidy“, drukowany pod nazwiskiem K. Ehrenberga, był w istocie przekładem młodszego kolegi tegoż, L. Rydla... Najobszerniejszą pracą tłumacką poszczycić się może obecnie na danem polu Tadeusz Hahn, syn prof. W. Hahna, zasłużonego polonisty i filologa. Podjął się on całkowitego przekładu „Sielanek“, oraz — bodaj pierwszy w Polsce — również całkowitego przekładu zbioru „*Catalepton*“ (należałoby może przełożyć i „Komara“) i wydał to wszystko (wraz z Owidjuszową fraszką, „*De medicamine faciei*“) nakładem własnym w Lublinie. Forma książeczek tych jest gustowna. Przekład jest dokonany poprawną polszczyzną, nieco archaizowaną; — archaizacja ta niekoniecznie była potrzebna w „Sielankach“, gdzie może raczej gwary wiejskiej, albo czegoś podobnego użyćby należało, natomiast w „*Catalepton*“ jędrność sarmacka jest całkiem na miejscu. Pamiętamy, jak to Czubkowi udawały się przekłady Marcjalisa, gdzie sam trwardy ton dodawał „wagi słowom“, natomiast mniej udawały się przekłady Horacego, gdzie trzeba było wiersz i język cieniować w najróżnorodniejsze postacie. W „Sielankach“ jest wielka rozmaitość nastrojów. Jest i naśladowanie gawędziarstwa wiejskiego: wszak poczciwy Tytyr nigdy nie odpowiada wprost na pytanie, ale zawsze kołuje, niby nasz kumoter, wioskowy! Ale jest i wielka finezja liryczna, jest i kunszt plastyczny, jest harmonja naśladowcza (jakże beczenie kóz naśladuje wiersz: *Ite meae quondam felix pecus!*); tę stronę dałoby się wyrazić i w polszczyźnie — przyznaję, że sprawa ta niełatwa, zwłaszcza w ramach trzynastozgłoskowca. Mimo wszystko, przekład p. Hahna jest ważną pozycją przekładową; wszak od lat stu zadowalaliśmy się przekładem „Sielanek“, dokonanym przez Lipińskego, ani nie lepszym ani nie wierniejszym, owszem czasami zgoła sztywnym, a w pseudoklasycznych swych przekładniach nieraz nieznośnym. Ale „Sielanki“ jeszcze warto wziąć raz na warsztat — oczywiście najlepiej nie przy biurku, ale *sub tegmine fagi*, na łonie przyrody. Byłby to też pożyteczny sposób spędzenia wakacyj.

(J. B.).

*

Gustowną szatą, poważną i powabną treścią, przystępną formą wykładu i przystępną ceną zalecają się książeczki, należące do cyklu „Postacie świętych“, wydanego dotąd w 27 tomikach przez Księgarnię św. Wojciecha. Właściwie są to dwa cykle: cykl świętych polskich i świętych „cudzoziemskich“; pierwszy z nich ilustrował Piotr Stachiewicz, drugi — Henryk Rosen, zdawna uznani specjaliści w ikonografji tego rodzaju; obecnie do nich mają dołączyć się i inni ilustratorzy, m. in. Lela Pawlikowska, która tak świetnie ozdobiła „Szaleńców Bożych“ Szczuckiej. Tekst książeczek opracowany został przez specjalistów w hagjografji, jak W. Brzeska, J. Suchodolska, M. Czeska-Mączyńska, K. Sarjusz-

Zaleska, M. Pachucki, S. Jeleński i J. Birkenmajer; sami pisarze świeccy — co świadczy, że rodzaj ten literacki nie jest monopolem duchowieństwa; zresztą przecież i Szczucka i Morcinek i tylu innych dało się poznać na tem polu. Ale książeczki wspomniane nie służą celom wyłącznie literackim; mają one podkład naukowy— nie są beletrystyką, lecz studjami, ujętemi zwięźle i przystępnie, dla inteligencji oczywiście, bo dla prostego ludu są one trochę za „mądre"; tem się różnią od innych wydawnictw podobnych, np. od zgoła już popularnego wydania salezjańskiego, redagowanego przez A. Zahorską-Savitri, lub od niektórych tomików lwowskiej „Bibljoteki Szkoły Powszechnej" (gdzie jest m. in. ciekawa i piękna książeczka Fr. Papeego o św. Kazimierzu). Od zwykłego typu hagjograficznego różni się to wydawnictwo przedewszystkiem ścisłym historyzmem. Legendy są pominięte prawie zupełnie, natomiast do głosu przychodzą przedewszystkiem źródła historyczne. Nie o zdarzenia, nie o fabułę chodzi tu głównie, ale o charakterystykę duchową, psychiczną; w tym względzie autorowie poszli śladem francuskiego wydawnictwa „*Les Saints*" albo też niedawnej publikacji jezuity, ks. Hubera; wskazówkę dawać mogła i książka Jolly'ego „Psychologja świętych". Drogą wytyczną jest ujmowanie faktów z życia i działalności świętych pod kątem widzenia aktualnych spraw i potrzeb naszego społeczeństwa; takie problematy, jak nawrócenia, wiedzy, wstrzemięźliwości płciowej, celibatu, spowiedzi, unji kościelnej, sprawy robotniczej i t. d. i t. d. znalazły już lub znajdą oświetlenie w tych tomikach, które niewątpliwie wyświetlą szerszym kręgom inteligencji polskiej właściwe stanowiska katolicyzmu w rzeczach, tak mylnie lub celowo fałszywie przedstawianych i komentowanych przez osoby niepowołane i niedokształcone w danej dziedzinie, a czasem uprzedzone lub inspirowane przez wrogie żywioły. (J. B.).

MUZYKA

DZIEŃ ostatniego czerwca kończy t. zw. sezon operowy, rozpoczynając okres letni, wypoczynkowy, kanikuły czyli Psiej Gwiazdy. Coprawda ma się wrażenie, że psia gwiazda świeci nad operą już oddawna, a co do ostatniego roku, to już bez najmniejszych wątpliwości. Jeśli się weźmie pod uwagę owe wszystkie operetki, komedje muzyczne czy jak tam jeszcze, jeśli się spojrzy na odnowioną dużym nakładem pieniędzy „Aidę", daleką od boskości tak zachwalanej w akcie pierwszym, jeśli się wreszcie spojrzy na ogromną, pustą widownię, rozmaite myśli i refleksje poczynają się tłoczyć do głowy. Poprostu cały ich nawał.

Upaństwowiono już niemal wszystkie teatry w Warszawie, „przenosząc je na etat" Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej, opery bano się jednak nawet dotknąć. Obchodzi się ją ze wszystkich stron, opukuje, zagląda do wnętrza pełnego rupieci, kurzu, nawyków, kłopotów, różnych instytucyj, szkół, przedsiębiorstw, zaległych pensyj i emerytur, kiwa się na to wszystko głową i — rozkłada ręce. A swoją drogą możnaby przecież Kadenowi zaproponować konkretnie, zwłaszcza że tu potrzeba główki zapobiegliwej, sprytnej i z talentem merkantylnym... Gorsza sprawa z głową, któraby potrafiła ująć kierownictwo artystyczne. Musi to być typ człowieka, łączący w sobie dużą kulturę, z — rewolucyjnością. Bo że trzeba wszystko z gruntu zmienić, a do tego całą publiczność z powrotem do opery przyzwyczajać, nie ulega żadnej kwestji.

Długie dyskusje na na temat, czy opera jest przeżytkiem, czy też nie, same już dzisiaj należą do... przeżytków. Trudno jest pomyśleć, że jej wogóle nie mamy, bo to, co jest, co wegetuje dotychczas w Warszawie, nazwaćby można było raczej jej cieniem, smutnemi resztkami, cofnięciem się wstecz.

Czy to skutek kryzysu teatru, czy przejaw kryzysu kultury, jednego z odcinków kryzysu ogólnego? Nie będę w tej chwili roztrząsał tego zagadnienia, mam jednak wrażenie, że słowem „kryzys" tłumaczymy zbyt wiele zjawisk, a przedewszystkiem siebie, swój brak inicjatywy, energji, zainteresowań, wykręcając się niem, jak sianem i nie bacząc na to, że wystawiamy sobie jaknajgorsze świadectwo. Obawiam się, że jeśli tak dalej pójdzie, to po jakimś czasie wpłynie pod adresem Teatru Wielkiego protest, podobny temu, jaki kiedyś złożył pod adresem Wawelu bodaj że Lanckoroński; zaproponował poprostu, ażeby go pozostawić własnemu losowi, tak „iżby z czasem romantyczną stał się ruiną". Niechaj więc nas nie zdziwi widok miejskich ogrodników, sadzących wiosną sentymentalne bluszcze i powoje u podstaw licznych kolumn i filarów.

Głos mój nie jest głosem odosobnionym. Tylko że nie należy rozpoczynać batalji prasowej raz w roku około września, ale przypominać o tej sprawie ciągle, uparcie. Może się tem wreszcie pobudzi inicjatywę publiczną, gdyż o prywatnej niema co dzisiaj mówić; zostanie odrazu położona na obydwie łopatki! Ale inicjatywa publiczna, powiedzmy dokładniej — państwowa, boi się i waha. Dopóki się jeszcze nie miało opanowanego zarządu miasta, kłopot operowy zwalało się na barki magistratu, dzisiaj to już jest wszystko jedno. A tymczasem opinja poczyna się niecierpliwić, irytować. Chodzi bowiem o rzecz dużej wagi — kulturę muzyczną. Jeszcze przed kilku laty mieliśmy w Polsce parę scen operowych, z biegiem czasu ginęły one, zamierały po kolei. Przyszedł czas i na Warszawę. I to w 75-tą rocznicę „Halki", która się na czas wakacyj przeniosła do skromnego teatru na Pradze, by tam w dalszym ciągu pełnić swoją rolę.

Dzisiaj nam już poczyna wystarczać transmisja opery z „*La Scala*". Z nabożną miną wkładamy słuchawki na uszy, wyłączając wszystkie inne stacje. Dowód to nie tylko marki, jaką sobie wyrobił teatr medjolański, ale również i zainteresowania. Wydaje się czasami, że sprawa opery jest dzisiaj bardziej obcą dla zesnobowanych „sfer artystycznych" aniżeli dla ogółu, który ją chwyta z powietrza, pozbawioną nawet elementu sceny, zredukowaną jedynie do roli estrady. Zresztą — jest nawet przyzwyczajony do tej redukcji. A to już musi zaniepokoić. Nie można, nie wolno o tem zapominać, że opera jest teatrem i przedewszystkiem teatrem, a tymczasem... Uderzmy się w piersi. Przecież to wynik długoletniego odzwyczajania się od takiego, jedynie słusznego poglądu. Jeszcze sobie można przypomnieć dobry głos ze sceny, trudniej natomiast dobrego aktora.

Całą tę sprawę traktuje się dzisiaj poprostu jako stary, kłopotliwy grat, śmieszne akcesorjum, z którym niewiadomo, co robić. Należałoby zmienić swój sposób myślenia i rozumowania. Nie sprowadzajmy opery do roli „ubogiego krewnego" sztuki, zastraszonego, siadającego na brzeżku krzesła i na szarym końcu, zwłaszcza, że wcale na taką rolę nie zasługuje. Przejrzyjmy się lepiej w lustrze całej tej sytuacji, a może sami pokornie pójdziemy do kąta poklęczeć na grochu. Żeby bardziej bolało.

Zaczyna się już u nas mówić, już i nareszcie, że za Władysława IV-go mieliśmy taki teatr operowy, taki zespół śpiewaków, taką kapelę, że u nas o tyle lat wcześniej aniżeli gdzieindziej...

Pięknie. Ale te słowa obowiązują. Nie należy własnej golizny ubierać w stare szaty. Ze względu na należny im szacunek i tę odrobinę szacunku dla samego siebie...

W. NARUSZ

OFENSYWA

POWRÓT PROFESORA DR. KOTA

Motto:

„Gdyby zaś kto z następców naszych lub innych którychkolwiek przywilej ten założenia Szkoły Powszechnej i nadania jej swobód zgwałcić i złamać się ważył, niech wie że gniewowi surowego mściwego Sędziego, nędznej nieszczęśliwości i okropnemu a niespodziewanemu losowi popadnie".

Władysław Jagiełło

Złatwo zrozumiałą satysfakcją przyjęły szerokie kręgi naszej inteligencji radosną wieść, że za inicjatywą grona profesorów *Alma Mater Jagellonica* zbierane będą podpisy wszystkich profesorów wszystkich fakultetów filozoficznych w Polsce pod adresem, skierowanym do następującego (w najbliższej przyszłości) ministra W. i O., z propozycją reaktywizacji prof. dr. Stanisława Kota i oddania mu z powrotem *„veniam legendi"*, jeżeli już nie na tej Wszechnicy, na której tyle zasług sobie zdobył, to przynajmniej w stolicy, to jest w Warszawie.

Przedewszystkiem musimy tu przypomnieć o kogo i o co rzecz idzie. Wielki uczony (podobnie jak prof. Zieliński) mało ma punktów stycznych z obozem narodowym i katolickim. *Tempore belli* stał z zapałem godnym lepszej sprawy po stronie państw centralnych. Obecnie, kiedy Niemcy rehabilitują się na olbrzymią skalę nakreślonym programem wyzwolenia świata od koszmaru pansemicko-komunistycznego, prof. Stanisław Kot wyraźnie przeciwstawia się temu kierunkowi i tym wszystkim nastrojom u nas, które z tymi nowymi Niemcami sympatyzują. W ustosunkowaniu do religji katolickiej, której konsolidującą siłą i potęgą państwo rośnie i tężeje, prof. St. Kot jest raczej zimny i obojętny, a rozgrzewa się i egzaltuje raczej przy... arjanach (niż przy aryjczykach), o których to arjanach dał zresztą kapitalne studja. Z obozem więc ratowania rasy polskiej i zagrożonej moralności katolickiej w Polsce prof. St. Kot solidaryzuje się tylko pośrednio i epizodycznie, zresztą jak prof. Brückner. Niemniej przeto zasługi jego jako badacza, znawcy i historyka kultury, dziejowości intelektualnej, oświaty, oświecenia, oświatowości, pedagogiki polskiej i t. p. są tak poważne, nieocenione i nie podlegające dyskusji, że godzi się je przypomnieć właśnie i tym, którzy z szanownym uczonym (podobnie jak z prof. Zielińskim lub prof. Brücknerem), nie zgadzają się często tak w orjentacyjno-politycznych, jak i w kulturalno-historycznych poglądach i doktrynach.

Solidny dorobek naukowy młodego jeszcze uczonego, jak na nasze stosunki, jak na wydajność twórczą naszych uniwersyteckich uczonych prezentuje się okazale i imponująco. Nie należy wyłączać z niego i tych 170 tomów „Bibljoteki Narodowej" z przedrukami najstarszych zabytków piśmiennictwa, z doskonałemi wstępami, powierzonemi piórom specjalistów. Już te 170 tomów są *aere perennius*, gdy się zważy, że moc dzieł i arcydzieł była wyczerpanych i niedostępnych. 170 tomów, żelazny kapitał bibljoteczny każdego polonisty, każdego miłośnika polskiego słowa, kopalnia tradycjonalizmu i żywe źródło miłości dawnej i zmierzchłej przeszłości. Jakże ochotnie się wraca do tych skromnych tomików które często pozwalają odgrodzić się od brudnej, plugawej, zbrodniczej dzisiejszości „mocarstwowej"! Już za to samo, za te 170 tomów „Bibljoteki Narodowej" zasłużył sobie krakowski profesor, aby wysiadywał w Akademji w tym fotelu, który wygniata największy leniwiec i sybaryta naszej generacji, profitujący z podrobionej legendy, dostojny Przesmycki o humorystycznym pseudonimie „Miriam". A teraz dodajmy do tego cały szereg głębokich, poważnych, kopalnianych prac oryginalnych, jak „Frycz Modrzewski", jak „Polska w opinji narodów europejskich", jak „Źródła do historji wychowania" i t. p. Umieli ocenić głębię i wszechstronność tych studjów magistralnych i swoi i obcy. Jezuita krakowski pisał o pracach uczonego raczej indyferenta:

„Dzieło, jakiego dokonał, jest ogromne, zwłaszcza jeżeli się zważy tak krótki okres czasu i niesprzyjające warunki. Powstało Seminarjum Historji Kultury, które było jedynym i nieodzownym warsztatem pracy dla historyków kultury. Bibljoteka jego posiada dzieła i czasopisma, których nie można znaleźć w żadnej bibljotece uniwersyteckiej. Tożsamo Seminarjum było jakby centralnem biurem badań nad stosunkami Polski z Zachodem".

Rzeczoznawca niemiecki S. Hessen (w recenzji w *Prager Presse*"):

„*Zusammen mit dem 1929-30 erschienenen zweibendigen „Quellen zur Geschichte der Erziehnung*" (Źródła do historji wychowania) *ist ein Meisterwerk der pädagogischen Weltliteratur und eines der besten existirenden Hilfsmittel zum Studium der Geschichte der Pädagogik*".

A tymczasem we własnej Ojczyźnie ten uczony, jedno z nielicznych i w Europie *nomen magnum*, najniespodziewaniej i najniesłuszniej musiał iść na banicję emerytalną. Przyszedł bowiem okres reformy szkolnictwa wyższego i średniego. Zwinięto więc przedewszystkiem 51 katedr uniwersyteckich, z czego najmniej 26 (wedle ogólnej opinji sfer kompetentnych) niesłusznie. Utworzono katedrę turkologji (*sic*), a skasowano katedrę historji kultury polskiej. Przyszła podwyżka opłat na uczelniach wyższych, odcinająca od wyższych studjów młodzież włościańską z warstw znędzniałych i sproletaryzowanych, a natomiast zainicjowano i rozbudowano anarchiczno-korrupcyjny „Legjon Młodych", który debiutował komunizmem i napaściami na duchowieństwo. W obronie tej organizacji „młodzieżowej", potępionej przez episkopat w znanym „liście pasterskim", wystąpił niejaki Ehrenkreuz, senator, sanator, ekssocjalista i sprawozdawca budżetowy ministerstwa W. R. i O. P., profesor wileńskiego uniwersytetu im. St. Batorego, dla którego b. żony, uczonej Cezarji z Courtenayów Ehrenkreuzowej stworzono jednak (w owym okresie kasowania 51 katedr) nową katedrę etnologji na uniwersytecie warszawskim, co zresztą znalazło potem odpowiednie echo w znanej mowie byłego premjera p. Prystora.

Przeciw takiej reformie uniwersyteckiej stanęli swego czasu, broniąc autonomji („swobody nauki" i przywilejów jeszcze Jagiellońskich) tacy uczeni, jak prof. Brückner i prof. Balzer. Protestowali też i p.p. Kostanecki i Sierpiński i stu innych, których nazwiska są firmami. Za taką zaś Ehrenkreuzowską reformą stanęły takie figury docentusiowe, jak p. Wałek, p. Stefko, p. Czerny i niejaki Czuma, prof. Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie, zarazem „do specjalnych poruczeń". Profesor Kot został spensjonowany, a na widownię warszawską wypłynął faworyt Ehrenkreuzów, niejaki p. Górka, orjentalista mający dyspozycje utrącenia raz na zawsze Henryka Sienkiewicza. Ostatnią strzałą Parta ustępującego było jeszcze stworzenie na uniwersytecie warszawskim katedry Fredowskiej psychoanalizy i proponowanie na to jednego z żydków „Kurjera Porannego", niejakiego dr. Bychowskiego Augusta, specjalisty od sekuologji.

Aby przekonać się teraz, jakie to typy naukowców pod takim patronatem zebrały się do pisania dzieł w zakresie promieniowania właśnie zwiniętej katedry prof. St. Kota, wystarczy wziąć do ręki dwa utwory pedagogiki popularnej, przeznaczonej dla młodzieży szkół średnich, a mianowicie:

dr. Hanny Pohowskiej „Wychowanie Obywatelsko-Państwowe" i

„Podręcznik historji" spółki: Jan Dąbrowski i Andrzej Sand...

W pierwszym tysiąc błędów gramatycznych, stylistycznych, ortograficznych i faktycznych. W drugim także tysiąc, a... Warta wpada do Wisły...

Z winowajcy tego wszystkiego dziś ani śladu. Nie żegnany, nie owacjonowany, skompromitowany i ośmieszony buja sobie gdzieś pono po lądach i morzach. Został po nim „Zrąb", „Państwo Pracy", Spasowski i Barycka, Zapasiewicz, Wałek, Czerny, Górka, Jacques Sperber, Nachalnik, „Straż Przednia", „Kuźnia", upartyjnianie oświaty, odchrześcijaniamie harcerstwa, dekulturyzacja, serwilizm na katedrach i nieutulony w żalu Kaden...

Byłoby tedy szlachetnym gestem, co więcej powrotem do gentlemenerji, co więcej byłoby aktem ekspiacji, gdyby skorzystano teraz z okazji i, przywróciwszy, pięknie i ostentacyjnie zaproszono z powrotem prof. St. Kota na Katedrę Historji Kultury w Polsce.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

P. Stpiczyński użala się w „Kurjerze Porannym" na to, że w obozie sanacyjnym typ lojalisty bierze górę nad typem „ideowca" za jakiego on się uważa. Niechby p. Stpiczyński wyznał kiedy otwarcie, jako to jest jego ideał. Łatwiej byłoby chyba lojaliście wykazać się ideowością, niż ideowemu p. Stpiczyńskiemu lojalnością.

Zresztą — *habeant sibi.*

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM